

Dziwna rozmowa

Kicińska Władysława

Lato tego roku było niezwykle upalne. A ten wtorkowy dzień... był wyjątkowo gorący. Do Rawicza razem z zięciem, Józefem Pocięgło, przyjechała Aniela Wróbel. Oboje przyjechali ze wsi Stwolno. Starsza pani całe swoje dorosłe życie mieszkała w Stwolnie. Początkowo z rodzicami i rodzeństwem, a potem na własnym gospodarstwie z mężem i córką. Mąż Anieli od kilku lat nie żył. Córka trzy lata temu wyszła za mąż. Wtedy do ich domu wprowadził się Józef.

Przyjechali własnym samochodem. Wysiedli na Placu Wolności. / Niedaleko rawickiego więzienia./ Zięć zostawił tu swoje auto. Będzie stało na parkingu. On pójdzie za swoimi sprawami, a ona za własnymi. W mieście często nie ma gdzie grata zostawić, dlatego tu swój samochód zostawił. Ona też miała sporo do załatwienia. Starsza pani chwilę stała i gapiła się za nim. Patrzyła jak jej zięć odchodził.

Udał nam się Józef, pomyślała ciepło, patrząc za odchodzącym mężczyzną, a potem... Chwyciła swój koszyk z żółciutkimi kaczuszkami i drugi z kurzymi jajami, i powlokła się na targ. Kiedyś targ był na Placu Wolności, a jeszcze wcześniej na rawickim rynku. Pod samym ratuszem. Nie od frontu, bo to by nie było zbyt ładnie, ale z tyłu. Stały na nim wozy ze: świniakami, kurami i kaczkami. Nawet ze zbożem i z ziemniakami. Pod ratuszem jedna przy drugiej stały przekupki. Były to kobiety z okolicznych wiosek: z osełkami masła, śmietaną, serem białym i jajami.

Mój Boże, kiedyż to było? Jak ten czas szybko zleciał. Im jest starsza, to jej się wydaje, że doba zrobiła się jeszcze krótsza niż była do tej pory.

Później, bo w jakiś czas potem; władze miasta Rawicza przeniosły, to całe gdaczące, piejące i kwaczące towarzystwo na taki mały plac, na Plac Wolności. A teraz... Trzeba jej iść kawaleczek, trochę dalej /wzdłuż więziennego muru/ na inny plac. Też leżący wewnątrz rawickich plant. Kiedyś był tam basen. W środku lata schodzili się tam mieszkańcy Rawicza, a nawet zjeżdżali się z okolicznych wsi i miasteczek, i zażywali w nim ożywczej kąpieli. A dzisiaj...?! Pewnie Aniela machnęłaby na swoje „gadanie” ręką, gdyby nie to, że miała koszykami zajęte obie dłonie.

Długo nie trwało... Mieszkańcy miasta rzucili się na jej kaczkę i jaja, jakby to, co miała w swoich koszykach było za darmo. Wykupili jej towar na pniu i... nasza Aniela nareszcie była wolna. Wolna i szczęśliwa. Mogła teraz spokojnie pochodzić po targu. Kupić to, co było jej niezbędne na wsi, a brakowało w wiejskim sklepie. Zrobiła zakupy i poszła oglądać wystawy sklepowe w centrum. Przy okazji chciała zobaczyć miasto. Była go strasznie ciekawa. A nuż... coś tu się zmieniło.

Wiecie... Jak człowiek ruszy się od kur i od krowich ogonów, to inna miejscowość

może mu się wydawać niesamowicie piękna. Jak taki fantastyczny film. Tak było i tym razem. A może naszej Anieli przypomniały się młode lata? Kiedy to, razem z mężem śmigła rowerem do rawickiej „metropolii”. No tak, pomyślała. Ile lat temu, to było...? Sporo, Aniela. Naprawdę sporo...

Teraz chodziła i tu, i tam po rawickim rynku. Zegar na ratuszu właśnie wybijał pełną godzinę. Co takiego...? Już jest dwunasta...? Do licha! Jak ten czas na przyjemnościach i nieróbstwie prędko zleciał. Przed sobą zobaczyła młodą kobietę. Pokazywała coś swojemu malcowi na wieży ratusza. No tak. Kiedyś w Rawiczu nic nadzwyczajnego w tym miejscu nie było, tylko zwyczajny budynek. No... może trochę większy i ładniejszy. Dach miał pokryty czerwoną dachówką i wieżyczki... Czyżby od dzisiejszej spiekoty zupełnie zgłupiała? Może zgłupiała, ale tamta dobrze wiedziała, że na wieży coś ciekawego za moment się ukaze. Wcześniej coś takiego tu było? Aniela nie pamięta, bo może o tym nie wiedziała, bo nigdy o tej godzinie w tym miejscu nie była. Tak czy siak... inaczej tamta pani, by tam nie stała i nie pokazywała maluchowi palcem na to, co za moment się ukarze.

No tak...! W samo południe na wieży ratusza / A to by znaczyło, że punktualnie o godzinie dwunastej./ ukazał się brunatny niedźwiedź. Na jego grzbiecie siedziała piękna panna. Oboje wolniusieńko się przesuwali. Wkrótce na dobre zniknęli we wnętrzu. No tak, pomyślała kobieta raz jeszcze. Poznański ratusz ma brykające w południe koziołki. Z wieży mariackiej krakowskiego kościoła, w południe odzywa się hejnał, a Rawicz ma pannę, która jeździ na brunatnym niedźwiedziu. Jednym słowem ten wspaniały gród...

Olaboga... Aniela! Pewnie od upału pomieszało ci się w głowie. Może kiedyś Rawicz był grodem, nawet warownym. Jakby na to nie patrzeć, świadczą o tym rawickie Planty, / To taka skromna pozostałość po tamtych czasach i po wałach. / ale kiedy to było, kochana. Kiedy to było. To było tak strasznie dawno, że ty sama tego nie pamiętasz, bo ciebie na świecie jeszcze wtedy nie było. Miasto ma w swoim herbie brunatnego niedźwiedzia i pannę na nim. Rusz się, kobieto, rusz się. Inaczej słońce mózg ci kompletnie wypali. Zrobi się z niego chrupiący skwarek.

Kobieta roześmiała się do swoich myśli, ale zrobiła to zbyt głośno. Na szczęście, młoda matka, razem ze swoim dzieckiem na dobre odjechała. Inaczej puknęłaby się palcem we własne czoło, gdyby usłyszała chichot naszej Anieli. Z pewnością by pomyślała, że Aniela z tej spiekoty całkiem zdurniała. Na rynku ludzi w tej chwili nie było. Kto mógł, to czmychał tam, gdzie pieprz rośnie. Ten prawdziwy, bo z całą pewnością nie ziołowy. Czmychał i szukał chłodu u siebie w mieszkaniu, za szczelnie zasłoniętymi oknami, albo na rawickich Plantach: pod rozłożystymi kasztanowcami, lipami, klonami, i czymś tam jeszcze.

Czmychał przed spiekotą, jaka wokoło tego dnia się zrobiła. A w Centrum... kurcze. Centrum zupełnie wymarło. Tu i tam przemykał się jakiś człowiek. Śpieszył się. On też się bał, że za moment nic z niego nie zostanie. Jeśli już, to tylko niewielki okruszek lub chrupiący skwarek.

Rynek... W tej chwili, to nie był rynek, tylko wielka rozżarzona patelnia. Gdyby ktoś chciał, to z całą pewnością mógłby usmażyć, na tych rozżarzonych kamieniach najprawdziwszą jajecznicę. Tak pomyślała nasza Aniela. Jajecznicę... Można by na chodniku albo wprost na jezdni /wylanej asfaltem/, usmażyć dla siebie jedzonko. Czy byłoby pyszne...? To już była inna para kaloszy. Czyż nie tak? Czmychaj stąd, Aniela! Czmychaj...!! Inaczej za chwilę zostanie z ciebie wysmażony skwarek.

Kobieta nie zastanawiała wiele, tylko skręciła w najbliższą uliczkę. Minęła coś, co kiedyś było kinem, a teraz było zamknięte na głucho. W tej „metropolii”, w śródmieściu, żadnego kina nie było. Przynajmniej nie ostatnio. Aniela! Rusz się trochę, bo za chwilę z całą pewnością nakręcisz film. Zrobisz to bez udziału osób trzecich i jakiegokolwiek kamery. Jeśli stąd natychmiast nie znikniesz, jeśli stąd się nie wyniesiesz, to będą cię zbierali z ulicy, staruszek. Kto to widział, by w taki skwar włączyć się po rozgrzanym do niemożliwości mieście? Jeszcze po Rynku, gdzie nie ma żadnego przeciągu. Tu był najprawdziwszy piec chlebowy. Prawdziwe krematorium.

Aniela młoda nie była, to święta prawda, ale wciąż jeszcze była, jak ta przysłowiowa rzepa. Wkrótce znalazła się na Plantach. Kilka osób siedziało na ławkach. Postanowiła usiąść przy samej fontannie. Przy tej z niedźwiedziem. Usiadła i z uwagą patrzyła na kamienne zwierzę. Jak się znała, to ten był z tych brunatnych niedźwiedzi, a nie z białych. Tamte bywają daleko, bo aż w mroźnej Arktyce.

W pobliżu z lekka szumiało. Może dlatego, że po niedźwiedziu nieustannie spływała woda, a on sam stał w taki sposób, jakby miasto i jego ulice niewiele go obchodziły. Woda po nim płynęła i płynęła. A nasza Aniela siedziała zapatrzona w to potężne zwierzę. Słyszała, że wokoło brzęczały owady, ale one tego dnia też były niezwykle senne. Wiedziała, że w tej chwili, tylko pszczoły i mrówki pilnie pracowały w palącym słońcu. Inne owady z pewnością, gdzieś czmychnęły. Pewnie je poniosło strasznie daleko od tego miejsca. Chciały poszukać trochę ożywczego cienia.

Wkrótce nasza Aniela ujrzała, jak niedźwiedź ze swojego futra otrząsnął nadmiar wody, a potem łapami z niej ją wycisnął. Widać było, że bardzo się starał, by je dokładnie osuszyć. Odwrócił w jej stronę pysk. Nawet szeroko otworzył własną paszczę. Przez to pokazał jej swoje straszne zębiska. A potem... z lekceważeniem odwrócił się do niej tyłem.

Zrobił to w taki sposób, jakby chciał jej powiedzieć.

– Babciu! Kochana, babciu! Mam cię gdzieś! Gapisz się na mnie i gapisz, a ja nie jestem żadnym dziwolągiem, tylko brunatnym niedźwiedziem. Nie musisz się na mnie, aż tak gapić. Nigdy z bliska nie widziałaś niedźwiedzia? Jeśli nie, to jedź do puszczy albo do zoo. Można nas, niedźwiedzie, spotkać w objazdowym cyrku, w stałym też. Ale te niedźwiedzie są bardzo sfrustrowane, bo każą im robić przeróżne sztuczki. Nawet wtedy, gdy nie mają na to absolutnie ochoty. No, staruszko! Zakochałaś się we mnie czy co...?

– Ależ ty jesteś, głupi, mój misiu! – powiedziała Aniela. – Nie myśl, że cię kocham. Niestety. Nie zakochałam się w tobie. Ale mam do ciebie ogromną prośbę. Chciałabym przypomnieć sobie młode lata.

– Młode lata? Nie mogłabyś ich sobie przypomnieć beze mnie? – spytał kamienny zwierzak.

– Wiesz. Mój zmarły mąż za naszych młodych lat, woził mnie na rurze od roweru.

– Kobieto...! Co ty opowiadasz za głupoty? Chciałabyś, żeby niedźwiedź woził cię na rowerze? Skąd dla ciebie znajdę rower na tej niewielkiej wyspie? Zupełnie sfiksowałaś z tej spiekoty. Ja to wiem. Pewnie dzisiejszy upał tak na ciebie wpłynął i przez to gadasz takie okropności.

– A ty, misiu, strasznie jesteś nieużyty! – zakpiła. – Nie chciałam, żebyś mnie woził na rowerze, tylko na własnym grzbiecie. Niedawno byłam na rynku. Na wieży rawickiego ratusza, w samo południe, niedźwiedź niósł na grzbiecie piękną pannę. Dlatego pomyślałam, że i ty, mógłbyś mnie trochę ponosić na własnym grzbiecie. Oczywiście gdybyś tylko zechciał, ale ty...

– Nie jesteś młodą panną, moja droga, tylko zwyczajną babcią ...

– I co z tego. Jeśli postoisz pod tą deszczową fontanną siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt lat, to ty, mądralo, też nie będziesz ani młody, ani urodziwy. Pytanie... Czy będą chcieli cię tak długo tutaj trzymać, bo... Może się zdarzyć, że na tym „piedestale”, któregoś dnia; postawią piękną sarnę, fokę albo pana z niedużym wąsikiem. Ale wiesz co, mój drogi?! Łaska pańska często na pstrym koniu jeździ. Niech ci się nie zdaje, że będziesz tak tu stał do końca naszego marnego świata.

– Ale z ciebie pani mądralińska...! – zawołał niedźwiedź. Zrobił to z ironią. Był już niezłe wkurzony gadaniem Anieli. – Myślisz, że ty, sama, będziesz tu w nieskończoność siadała? Myślisz, że do końca świata będziesz przeróżne głupoty gadała? Akurat. Wielu cwaniaczków i mądrali wokół mnie siadało. Jedni siedzieli na ławeczkach, a byli i tacy mądrale, co przede mną stali. Gapili się na mnie, jak takie sroki w gnat pełen świeżutkiego

mięsa. Gdzie w tej chwili są? Wiesz co z nimi się dzieje...? Od dawna tu nie siadają. Nawet ławeczki kilka razy tu pozmieniali, bo poprzednie się zniszczyły. I to nie raz, i nie dwa. Po tamtych wartę przejęli inni. Oni też tu siedzą. I ty w końcu... Zresztą. Po co mam ciebie i siebie denerwować. Jeśli naprawdę chcesz, to cię przewiozę na własnym grzbiecie. Co mi tam. Choć raz zrobię ci tę przyjemność, moja babcinko.

– Wiesz co! Trudno! Nie będę cię o nic prosić. Zresztą... Mogłabym o twój mokry grzbiet pomoczyć sobie swoją świąteczną sukienkę. Jeśli tobie o te inne sprawy chodzi, to sama wiem, że nie jestem wieczna, że któregoś dnia stąd odejdę. Ci co przede mną tutaj siadali, to... od dawna są tam. Ja też będę. Kiedyś... Może nie tak do końca, tam. Nie na tej piaszczystej górcie, ale z całą pewnością będę leżała w Stwolnie, na parafialnym cmentarzu, koło mojego starego. Panie świeć nad jego grzeszną duszą. Tak na pewno będzie. Na koniec swojego gadania, pokazała mu kierunek, w którym była ta nieszczęsna górka.

– Wiem! Wiem, moja droga! Wszyscy co tu siadali leżą na tej niewysokiej górcie. Na tej co ją widać z daleka. Pierwszego listopada ludziska zwykle tam idą całymi chmarami. Pałają im kolorowe światła. Dym z palących się zniczy, czuje się aż tutaj...

Nagle... Naszą Anielą ktoś solidnie potrząsnął. Przestraszyła się. Otworzyła szeroko oczy i wtedy zobaczyła, że przed nią stał policjant. Był w samej koszuli,/ Czyli bez munduru./ ale za to w czapce z daszkiem.

– Przepraszam najmocniej! Zdaje się, że przerywam drzemkę. Dobrze pani się czuje? – spytał grzecznie, ale za to służbowym tonem.

– Dobrze, młody człowieku. Bardzo dobrze! – odpowiedziała, ale bardzo dobrze się stało, że mnie pan obudziłeś. Rozmawiałam z kamiennym zwierzakiem, z tym samym co mamy go przed sobą. Mieliśmy bardzo brzydką rozmowę. Wręcz paskudną...

– Rozmawiała pani z kamiennym zwierzakiem? Nie rozumiem...? Z tym co tutaj od jakiegoś czasu stoi? Jak mam to rozumieć?

– Jak to jak...? Zwyczajnie.

Policjant bardzo się zdziwił, a może bał się, że starszej pani ktoś „poprzestawiał” w mózgowicy wszystkie zdrowe klepki.

– Nie ma się czemu dziwić. Śniło mi się, młody człowieku, że rozmawiałam z niedźwiedziem. Mówiliśmy o przemijaniu i o obywatelach, o tych co leżą na tej piaszczystej górcie pod tym niewielkim laskiem.

– Ach tak... Przestraszyłem się... Myślałem, że pani zasłała. Mamy dzisiaj taki upał. Żar leje się z nieba. Nie ma czym oddychać. Możliwe, że wieczorem albo po południu

będziemy mieli burzę. Wie pani. Taką z solidnymi piorunami. Wcale bym się nie zdziwił. Według mnie, prawdziwe grzmoty dzisiaj będą.

– Nic mi nie jest, tylko na trochę przysiadłam w cieniu. Nie chciałam się włączyć po słońcu. Przysnęło mi się, tylko ciut, ciut, ale zawsze... Dobrze, że mnie pan obudził. Inaczej spałabym do wieczora. Woda na tego zwierzaka nieustannie się leje. Owady wokoło bzyczą i bzyczą...

– Mogli panią obrabować z pieniędzy i z zakupów. Chociaż o tej porze i w takim skwarze, jak ten dzisiejszy, to pewnie złodzieje i włamywacze leżą gdzieś nad wodą. Moczą się razem z gaciątkami w przeróżnych bajorkach. Mogą być strasznie małe, byle były mokre. Czyż nie tak? W taki skwar nawet im nie chce się plądrować. Będą kradli, będą się włamywali, ale jak się znam, to dopiero w nocy, albo jak trochę się ochłodzi. Z wieczora wyjdą na polowanie. Ja to wiem...

– Pewnie tak, młody człowieku. Przyjechaliśmy z zięciem dzisiaj, bo targ mamy, a jutro trzeba będzie żąć zboże.

– O rany! W taki upał?! Współczuję pani! Bardzo...

– Nie rozumiem! Czego mi pan współczuje? Będziemy kosili Bizonem. Wie pan, co takiego jest ten bizon?

– Wiem, proszę pani! Wiem. Chociaż o nas policjantach tak różnie się mówi, prawda? Najczęściej śmieszne anegdoty i pieprzne kawały, czyli dowcipy...

– Wiem, wiem. Pewnie takie same, jak te o blondynkach!

– O...! Właśnie takie same – uśmiechnął się młody człowiek. Zrobił to nadzwyczaj szeroko. – A pani zięć? Zniknął? Gdzie go poniosło...?

– Jak to gdzie? Przecież mówiłam, że poszedł do ważnego urzędu. Załatwia w nim swoje sprawy. Ja byłam na targu, a potem... Chodziłam i tu, i tam...

– Domyślam się. Doszła pani, aż tutaj... Rozumiem! Zmęczyła nam się obywatelka i usiadła pod tymi ogromnymi drzewami. Na drewnianej ławeczce przysiadła i kapkę przysnęła. Często tak mówił, mój nieboszczyk, dziadek. Kapkę... Powinienem już iść, ale ludzi tu strasznie mało i...

– Boi się pan, zostawić mnie tutaj samą, prawda? Nie chce mnie pan zostawić przy tym kamiennym zwierzaku, prawda?

– Właśnie tak, proszę pani.

– Nie musi pan, mną aż tak się przejmować. Posiedzę tu sobie kapkę i pójdę do mojego zięcia – zachichotała babcinka z cicha. Trzeba nam przyznać, że zrobiła to naprawdę uroczo...

– Może mógłbym panią odprowadzić? Przynajmniej w miejsce, gdzie pani ma się spotkać z zięciem. Tam też są ławki. Tak samo, jak tutaj. Na nich też można usiąść i odpocząć...

– Ojej! Tylko nie to! Jeszcze mój zięć gotów pomyśleć, że coś złego zmalowała i doniesie na mnie, mojej córce. Miałam zostać w domu. Ona miała z nim przyjechać. Ostatnio są takie upały. Przez to miałam siedzieć w domu. Ale chciałam na chwilę, choć na trochę zwać od moich wnuków i od krowich ogonów. Moje wnuki, proszę pana, naprawdę są fajne, są cudowne. Prawie takie same, jak żywe srebra. Ile ja... Muszę za nimi się nauganiać, to strach pomyśleć. Wolałam z nimi córkę zostawić. Jest młoda. Ja z dziećmi już nie daję rady. A jeszcze te ogony... Strasznie na mnie, w naszej oborze się gapią.

– Nic nie rozumiem. Jak to? Ogony na panią się gapią? Pani jest taka tajemnicza. Czy ja znowu niczego nie zrozumiałem?

– A nie? Pewnie, że tak. Kiedyś chodziliśmy z krowami do by... Kobieta nie do końca, a nawet, jakby trochę się zapowietrzyła, ale zaraz potem dodała, że teraz we wsi jest inseminator. Chyba jakoś tak, ten ktoś się nazywa. On nasze krowy ostatnio odwiedza. A one, pewnie na koniec, by chciały buzi, albo co, bo później tak dziwnie na mnie się gapią. Jakby chciały mi powiedzieć albo zapytać. „To ma być koniec? Od kiedy tak ma być? A nie inaczej? Nam coś takiego się nie podoba.”

Ha, ha, ha!, rozległo się po rawickich plantach.

– Jak długo na tym świecie żyję, to jeszcze tak się nie ubawiłem. Odprowadzę panią do zięcia. Idąc na tamten plac, przynajmniej jeszcze trochę pobędziemy razem i porozmawiamy. Gdyby co, to mu powiem, że znamy się od dawna, że próbowałem panią wypytac o...

– Wiem. O wszelkie „nowinki” gospodarskie, prawda?

– No, właśnie...

– To z całą pewnością nie przejdzie, mój panie! – rzekła Aniela. – Mój zięć w coś takiego nigdy nie uwierzy. Nawet panu. Ja miałabym znać się na gospodarskich nowościach? To ja chciałam w naszym gospodarstwie robić tak, jak się robiło za króla Ówiczka, ale nasz Józef jest mądry, bardzo postępowy, proszę pana, dlatego nasze krowy tak dziwnie na mnie teraz patrzą.

– Tak pani myśli...? – zafrasował się policjant, a potem powiedział. – Jeśli tak też nie można, to powie zięciowi, że pani mi o nim mówiła, że on jest strasznie mądry, postępowy i tak dalej, i tak dalej...

– Tak też nie można....

- Tak też nie....? A to dlaczego...?
- Zrobi się z tego powodu taki dumny, że nie wyjdzie mu to na zdrowie.
- A to pech. Co w takim razie zrobimy z tym fantem...? Przecież musimy mu coś powiedzieć, prawda?
- No dobrze! Jeśli koniecznie pan chce iść ze mną, to będzie pan musiał mocno mu nakłamać. Powie pan, mojemu zięciowi, że kogoś na plantach pobiłam. Jakiegoś złodzieja. Chciał mnie psiajucha okraść, a ja mu na to nie pozwoliłam, dlatego dostał ode mnie lanie. No wie pan; porządne, siarczyste lanie.
- Tak mam mu powiedzieć? Przecież to nieprawda? – policjant ze zmartwienia aż zmarszczył gęste brwi. – Kurcze. Miał aż tak temu obywatelowi nakłamać. Przecież to nie jest w porządku. Tak robić nie uchodzi...
- Proszę pana. Można mu tak powiedzieć, bo on i tak w to nie uwierzy. Od razu się domyśli, że straciłam sporo pieniędzy.
- A straciła pani?
- Pewnie. Powinnam moim wnukom coś kupić. Czyż nie tak...? Jak pan myśli? Która babcia przyjedzie z miasta bez prezentów? Do wnuków mam wrócić z pustą ręką? Przecież będą mi w koszyki i w torbę, jak takie maleńkie chochliki zaglądały. Czyż nie tak? Jakby to było, przyjechać bez niczego? Przecież to niezła siara...
- Słusznie. Trudno. W tej sytuacji będę kłamał. Co z niego za ojciec? Wnuki powinny dostać od babci prezent. Może skromny, niezbyt duży, ale zawsze...Tak czy siak prezenty kosztują.
- No... Sam pan rozumie...
- Aniela Wróbel szła obok wysokiego policjanta, który usłużnie, w wielkim upale dźwigał jej węzełki i koszyki. Wkrótce... oboje znaleźli się na Placu Wolności.
- Mama...?! Gdzie byłaś tak długo? Tak o ciebie się bałem! Tak się martwiłem. Nie wiedziałem, gdzie mam cię szukać. Myślałem, że coś złego ci się przytrafiło, że może gdzieś upadłaś i zawieźli cię do szpitala, a ty...
- Stało się, stało... Rzeczywiście się stało. Starsza pani pobiła takiego jednego łobuza! Musieliśmy z kumplami całą kupą interweniować. Inaczej, by go swoimi koszykami rozniosła. Tak go po grzbiecie waliła... – Pan policjant łgał tak zgrabnie, że nawet się nie zapowietrzył.
- Akurat. Sprzedała jaja i ptaki po to, by nakupić wnukom głupot. Tyle tygodni cho-
co za nie zarobiła, dostała, to na swoje wnuki wydała. Całą utargowaną mamonę, jak się znam, to na moje maluchy wszystko przepuściła...

– Widzi pan! Mówiłam panu, że nie uwierzy i nie uwierzył. W życiu, w coś takiego nie uwierzy, że jego teściowa kogoś pobiła. Powinien pan powiedzieć, mojemu zięciowi, że rozmawiałam z niedźwiedziem. Może przynajmniej w to by uwierzył, bo w tamto, to nie...

– To prawda! Pańska teściowa rozmawiała na naszych Plantach z niedźwiedziem.

– Naprawdę?! To zaraz jedziemy do najbliższego doktora.

– Widzi pan! W to też nie uwierzył. Mój zięć wcale nie jest taki mądry, jak się panu wcześniej wydawało – dodała szeptem. – Przybijemy piątkę albo zrobmy żółwika, panie policjancie? Gdy będzie pan w naszym Stwolnie, to proszę wejść do nas na kawę. Pierwszy dom z brzegu, jak się jedzie od Rawicza...

Starsza pani wsiadła do auta, a policjant stał i patrzył, jak oboje odjeżdżali. Może powinien zajrzeć w papiery temu mądrali, ale nie zajrzał. Za to z cicha zachichotał. A swoją drogą, babcia była fajna. Babcinka była w porządku.